

Miłosz Gembarszewski

Prawo do pancerza

— On jeden, a nie trzej współcześni mu królowie „elektyni”, miał prawo do pancerza, i uwiecznienia się w nim na wizerunku: Jan Tarło z Tęczyna hrabia i z Szczekarkowic.

Odlamami wielkiego światła, rozproszonymi w dziełach o t. zw. Polskiej Wojnie Sukcesyjnej i Konfederacji Dzikowskiej, w życiorysach Adama Tarły i ks. Stanisł. Konarskiego, skroś karty Historii Polski pisanej przez Szujskiego, albo prof. Sobieskiego, dokumenty archiwalne etc., przegłądać przyczynki, pozwalające odtworzyć dzieje życia wielkiego patrioty Jana Tarły.

Trzeba było wypełnić wszelkie chwasty, to jest nieporadne domyslniki, niezręczne aluzje, złą wolę często pisarzy, życiorysujących klientów i wychowanców obywatelskiej szkoły tarłowskiej kosztem jej twórcy, którego musimy poznać.

Jan Tarło, ur. 1684 r., zm. 1750 r., był synem Stanisława, wojewody lubelskiego i Teresy z Duninów Borkowskich; przez matkę w prostej linii prawnuk poety Jana Kochanowskiego z Czarnolasu, którego córka Elżbieta była za Mikołajem Duninem Borkowskim. W tym wypadku stopień najwyższy nie jest przesadą: najstarszy i najstarszy z magnackich rodów polskich, Tarłowie z Tęczyna (dawnością, w pewnej mierze, bliscy im jedynie Tarnowscy - Leliwcykowie) i szczerze polska rasa, wydali człowieka, początkującego pracę Odrodzenia, jawnego także w czynach swoich podkomendnych (Józef Pułaski, ojciec Kazimierza, konfederat już w 1733 r., i tytuł innych potem), albo wychowanców, klientów (Radzewski, ks. Stan. Konarski etc.).

Współczesny Janowi Tarle historyk pisze o nim wyraźnie: „Zadnej w Ojczyźnie okoliczności publicznego interesu nie było, którego by on albo nie dotarł zupełnie, albo nie ulatnił”. „Z funkcji które na sobie utrzymywał poznać jego zasługi w Ojczyźnie” (Niesiecki).

W dwudziestym roku życia był nie tytularnym dworakiem, lecz sędzią ziemskim lubelskim, posłował na sejm; później, mianowany starostą kamienieckim, latyczowskim, medykim, sokalskim, pułkownikiem kawalerji, marszałkiem Trybunału Koronnego, przez kilka lat był podstolim W. X. Litewskiego, potem przydującym Komisji Skarbowej, wojewoda lubelskim, generałem Ziemi Podolskich, generałem lejtnantem i komendantem naczelnym artylerji koronnej, deputatem do układania konstytucji w 1718 i 1726 r., „gdzie wielkiej pracy w korekturze Trybunału i w ordynacji Księstwa Kurlandzkiego dołożył”. W 1726 r., nie uciekając się o ten zaszczyt, w imieniu Państwa Polskiego wiodł szczęśliwie układy ze Stolicą Apostolską, a wszystkie koszty poniósł jedynie z własnej ekstaty.

Parokrotnie już zwrócono uwagę, że t. zw. Polska Wojna Sukcesyjna 1733 — 1736 r. nosi znamiona wszystkich późniejszych powstań. Szerzej o tem pisał prof. W. Sobieski („Polska, jej dzieje etc. t. II, str. 203”), zresztą przeceniając rolę króla Stanisł. Leszczyńskiego. Nie można się tak zgodzić z prof. Sobieskim, aby walczyć wtedy mężnie z Moskalami na Litwie, potem wśród Kurpiów, Parzkowski przypomniał Kościuszkę, — podobni Paszkowskiemu byli raczej Kazimierz Pułaski (choć mniej rozważny) i Czachowski, później, w r. 1863 r.

Po śmierci Augusta II Sasa, gdy syn jego, sprzymierzony się z Rosją i z Cesarstwem Niemieckim, chciał wpływać na wolne postanowienia narodu polskiego — nie imię kandydata — Leszczyńskiego, ale wezwania do obrony wolności własnej we własnym domu powołały do szeregu patriotów.

3 lata trwała wojna powstańcza. Nie oddano wrogowi ani kawałka polskiej ziemi. Teren działań był bardzo obszerny: cała Polska. Z Polską sprzymierzeni byli tylko zawodni Bourbonowie francuscy i hiszpańscy.

Stan wojny: od Dniepru do Renu.

„Cudny jest ten świat, kiedy z zorzą [błąd].

Na powstański bój, polskie pany jadą” Tyle znanych nam imion. Walery Sokolnicki w Wielkopolsce; jest oddział Chłopskiego na Podolu, Ogiński na Litwie; Poniatowski, dziadek ks. Józefa; pod Korelicze ciągnie ze zbrojnymi Zawisza, rotmistrz Czerniawski; Mielżyński ku Śląskowi; Paszkowski wszechobecny, dawny pogromca hr. Maurycego Saskiego.

W pierwszym szeregu cały ród Tarłów: Jan, wojewoda naówczas lubelski, głowa domu, a za nim Adam Tarło, syn Stanisława, starosta jasielski, marszałek konfederacji, Antoni Tarło, starosta zlotoryjski, Karol Tarło, starosta i rotmistrz ziemi Steżyckiej, Adam Tarło, syn Józefa, starosta goszczyński, generał - major.

Na sto lat niespełna przed 1831 r., wodzowie, wierzący w Sprawę, pobili generałów Birkholza pod m. Wartą, von Schyblitsky'ego pod Moszyną, Izmailowa pod Wilnem. (Dokładny, choć może zbyt uległy danym z ówczesnego djarżusa opis tej kampanji, jest zaśluga prof. dr. Stef. Truchima: „Konfederacja Dzikowska”; opis ówczesnego oblężenia Gdańska dał po Jarochońskim dr. M. A. Wodziński).

Liczbę wojsk rosyjskich, walczących przeciw tarłowcykom określa dr. Truchim na 50—60 tysięcy: jest to najbliższe rzeczywistości; Hubert i inni mówili o 50 — 70 tysiącach; sam rosyjski głównodowodzący feldmarszałek Münnich pisał, że miał pod rozkazami 90-tysięczną siłę. Austriaków wystąpiło 12 tysięcy; Sasów

pod wodzą ks. Sax - Weissenfels, było według archiwaliów 20 tysięcy. Dane o naszych siłach (według prof. Truchima), podają, że Ogiński i Pocię mieli 8 tysięcy

mu.



Jan hr. Tarło

zbrojnych pod Koreliczami; w Wilnie, Brzostowski zebrał korpus 10-tysięczny. Adam Tarło, zdobywając twierdzę Kargowę, w

marszu na Śląsk miał mieć 18 tysięcy ludzi; w każdym razie z dużą siłą musiał się kusić o przedarcie do Saksonji, by zagrozić Dreznu.

mu.

temu równo 200, w ostatnich dniach kwietnia 1734 r. — Ucieczka niewojennego króla St. Leszczyńskiego do Gdańska spowodowała, że tam kierowały się nierzadkie siły powstańcze. W marcu 1734 r., regimentarz Józef Potocki (później za zdradę nagrodzony przez Sasa buławą), przebywał przy żonie w Stanisławowie; „kiedy zażądano od niego, by ruszył z odsieczą, przeraził się bardzo”; — dowództwo wyprawy pod Gdańsk objął więc wówczas rzeczywisty (potem, i z mianowania) wódz naczelny Jan Tarło, który z południowej Sandomierszczyzny ruszył już 8 marca, lecz zmuszony był czekać na posiłki niechętnie słane przez Potockiego; jednak już 15 marca, najrzędniej przemknawszy się wśród Sasów i Rosjan, Tarło, pomnożył swój oddział, stanął w Iłży, poczem wśród niebezpieczeństw, nie chcąc się uwikłać w boje przed osiągnięciem celu, bez zorganizowanej prowiantury, sam łożąc na żywność, musiał jednak podążyć na Nieborów, Strzechów i już 7 kwietnia był w Bydgoszczy, gdzie połączył się z oddziałem kasztelana Rudzińskiego i gen. Kampenhauzena. „Siły wojewody (w czasie marszu, nasz przypis) były małe, konie były liche, zmizerowane marszem, ludzie niewyćwiczeni”. (Prof. Truchim, j. w.). W tych okolicznościach, uwydatniając się, jak zręcznie manewrował Tarło w pochodzie od Sandomierza na Pomorze. Nikt powiedzieć nie śmie, aby tylko rzymskim frazesem były słowa, któremi żegnał małżonkę, jadącą na wojnę: „Więcej powinienem Ojczyznę, niż WPanią kochać”.

Spośród nawału powstań wojennych polskiego powstania z 1733 — 1736 r., wspominać dziś o jednym epizodzie, rozegranym lat

Pod Bydgoszczą złączyły się z Tarłem oddziały wielkopolskie Sołnickiego i Żalskiego; siły jednak nie były dostateczne, a feldmarszałek Münnich już słał gen. Zagriażskiego i Birona spod Gdańska; z Wielkopolski sunęły tysiączne zastępy ks. von Sax - Weissenfels. Mimo wszystko, dbały o siebie Stanisław Leszczyński upraszał Tarła o pomoc. Niegodne zachowanie się Leszczyńskiego w dniach oblężenia Gdańska, opisał już dawno Jarochoński. Ten król nominalny, później w Królewcu, przyrzekał koncesje na Pomorzu Prusom; nie więc dziwnego, iż według świadectwa Matuszewicza, Jan Tarło tak „infestował nieporadnego pretendenta, że Leszczyński gotów był uciec i od swoich zwolenników, a w końcu w tajemnicy przed nimi złożył przedwcześnie koronę, wzbudzając oburzenie.

Pod Bydgoszczą złączyły się z

„błiskiej” pomocy francuskiej, i dawniejsza porażka kaszt. Rudzińskiego mieszały szki polskiemu wodzowi. Tymczasem feldmarszałek Münnich, widząc, że Tarło zdołał już zaszachować armję gen. Zagriażskiego, odebrał komendę Zagriażskiemu i wysłał nowe pułki pod nacz. wodzą gen. Lascy, a idzikowskiego rozkazał aresztować. Tarło, po rycku, uważał zawieszenie broni za pewne, a miał w swych szeregach 12 tysięcy ludzi: niewyćwiczonych konfederatów i zaciężnych. Niestety: „wojska cudzoziemskie Tarły stały oddawna w tajemnej znowie z Rosjanami i Sasami”. Wodziński, j. w., str. 132).

Mimo zdrady, wojewoda nasz, wobec wroga łamiącego umowę, i spowodu odstępowania zaciężnych, dnia 18 kwietnia, w bitwie pod Ossowem (to nazwa właściwa, a nie Wysoczn przerebony z niemiec. Wutzkow, inny Wuczkow=Gocków), stawiał tak silny opór przez kilka godzin, że feldmarszałek Münnich musiał w raportach oddać sprawiedliwość męstwu Polaków. Nie mogąc się porozumieć z Gdańskiem w sprawie jednoczesnego uderzenia, powstańcy idąc niezłamanymi szeregami, jeszcze raz mocno starli się z wrogiem pod Puckiem. Były to ostatnie polskie boje na Pomorzu.

Współczesny historyk, daleki Tarłom, biograf ks. Konarskiego musi przyznać: „Nie posunął się Tarło nigdy do sprzedawania przekonani politycznych, umiał w każdej chwili ryzykować życie i majątek dla sprawy narodowej”.

Sto lat temu, Fr. Kowalski, pamiętnikarz, i popularny wówczas tłumacz Moliera, wypisy swoje z archiwum tarłowskiego, poprzedził przedmową o Janie Tarle, który: „zastępował próżny często skarb Rzplitej... bez żadnej myśli upominania się... człowiek ten niepospolity, nie wspominając już cywilnych niezliczonych prac jego”. (Arch. Krasieńskich, rękopisy).

Portret, zachowany w Opolu Lubelskim, przekazał nam rysy mądrej twarzy silnego człowieka, jednego z 24-ch senatorów Tarłów — świadectwa żywego naszej wiekowej kultury.

W. Narusz

Opera, opera...

Jest pewien gmach w Warszawie, ogromnych rozmiarów, dominujący nie tylko nad placem, któremu dał nazwę, ale nawet i nad dzielnicą, która w potocznym języku również zwie się teatralną. Gmach mieści w sobie aż trzy teatry, z których dwa roszą sobie pretensję do pozycji reprezentacyjnych. Jeden z nich nazywają Wielkim, albo prościej Operą. Nie wiem dlaczego oddawien dawna wyraz „opera” w żargonie ulicznym oznaczał coś niebawale komicznego. Nie dziwiłbym się, gdyby to poszło od wydarzeń sezonu bieżącego.

Teatr Wielki nosi na sobie znamie dostojności. Dostojności tragicznej, takiego widowiska, które powaga akcji nie wzrusza, lecz wywołuje uśmiech, prowokując potem do montowania parodujących obrazków, którym publiczność szczerze bije brawo. Dostojności nad wyraz przykrej, gdy z niebawala powagą ogromnego afisza ogłasza o wystawieniu jeszcze jednej operetki słowami: „Po raz pierwszy w Polsce”... lub wręcz irytującej, gdy otwiera rzadka swoje podwoje przedstawieniem, na które wszystkie miejsca zostały sprzedane rozmaitym instytucjom, obchodom, zjazdom i wycieczkom zapychającym salę, do której zwyczajny widz, pomimo najszczerzejszych chęci dostać się nie jest w stanie. Właśnie myślę, do jakiego stowarzyszenia mam się zapisać, ażeby ujrzeć „Popieliny” Kondrackiego. Wyborę zapewne związek młodzieży wiejskiej, bo przy tej okazji parując w pasiastych portkach zwiędze i Zamek królewski i Łazienki, by dostrzeć wreszcie przez Rynek Staro Miasta do Opery, gdzie śmiać się będą potem w kulak z pospolitego warszawiaka, odchodzącego w moich oczach od wogóle nieotwieranej kasy. Na wszystko jest sposób.

Coś się jednak bardzo źle dzieje. Już nawet i „Żydówki” w soboty nie dają, a to się przecież zawsze opłacało. „Jonny” Krenecka nie podbił Warszawy mimo pociągającego (!) tytułu „Jazz - band, murzyn i kobiety”. Sytuację ma ratować „Giuditta”

Lehara, oczywiście jeśli idzie o kasę, a nie reputację, mimo, iż dla niej także coś zrobiono; za pewno bowiem, że mamy tym razem do czynienia nie z operetką, ale komedią muzyczną.

Alc w tem miejscu to już należy zmienić ton żartobliwy na poważny. Chodzi przecież o jeszcze jedną placówkę kultury.

Wmawia się wszystkim od jakiegoś czasu, że zespół operowy także musi żyć, jakgd by kto mógł twierdzić inaczej. Ale rezultatem takiego omawiania jest układanie programu wyłączonego pod kątem obrotu pieniężnego i to nikogo nie dziwi. Inna rzecz, że takim założeniem robi się błąd i nie robi się — kasy. Przypomina się historia sprzed trzydziestu lat, gdy Filharmonja ignorując (nawet) muzykę symfoniczną, zajmowała się urządzaniem co najmniej nieporozumienia, nie dla innego celu, jak dla reperowania swoich finansów. Publiczności nawet się to podobało, ale wreszcie przyszedł męski protest muzyków z młodym entuzjastą Karłowiczem na czele. Dziś przez sześć dni w tygodniu wyświetla się w sali Filharmonji obrazy filmowe, ale przecież nie są one włączone w program artystycznej działalności instytucji. Gdyby Opera wyraźnie odgródziła siebie murem od przedsiębiorstwa, będącego dotychczas monopolium ulicy Bielańskiej, wypożyczając mu z konieczności tylko swej sali, powiedzielibyśmy może — trudno! Ale gdy się je kładzie na swej linii programowej i jeszcze bez poczucia, powiedzmy — smaku ogłasza: „Po raz pierwszy w Polsce”, to już trochę za wiele.

Dlaczego do tego wszystkiego doszło? Zaczęło się od najwykolejszej w naszym poglądach, które

w imię pogoni za nowostkami głosy przeczące się samej opery. Snoby poczęły kiwać potakująco głowami, nie zdając sobie sprawy, że pogląd taki tkwił nawet już wówczas w nieco prawym naturalizmie. Bo gdyby nagle zrozumiały, kto wie, czy sala nie byłaby znowu pełna.

W głowie się poprostu nie może pomieścić taki sąd, który twierdzi, że teatr wzbogacony elementem muzyki jest przyżytkiem, podczas gdy inne, pozbawione jej, mają prawo bytu. Ale tu dochodzimy do sedna rzeczy. Właśnie opera zapomniła o tem, że jest przedewszystkiem teatrem, utknęła w pewnym punkcie rozwoju i poczęła się degenerować. Coraz częściej traktowano scenę jako estradę, tak, że wkrótce doszło do jakiejś jednej wielkiej pomyłki, w której dekoracje sprawiły wrażenie nieporozumienia porozwieszanych łachów, a kostjum wydawał się zabłąkanym przypadkiem. Za tem wszystkim gra aktorska zeszła poprostu na psy. Nikt się na nią nie silił, wystarczał niewielki zasób kilku ruchów „uświęconych tradycją” i przedstawienie się odbywało. „To ci dopiero była opera!” — powiem ja zrykiem ulicy. Już tylko prostą koniecznością była owa maniera, której ogół nie może już oddzielić od istoty sprawy. A w końcu i ten pogląd, któremu się nie oparli i kompozytorzy.

Jest jeszcze jedno wielkie nieporozumienie. Myślę w tej chwili o muzyce „poważnej” i „niepoważnej”. A to przecież jest takie proste. Muzyka poważna, to muzyka dobra, chociażby miała nawet najbłahszą formę, muzyka niepoważna natomiast jest muzyką złą, chociażby nawet była najpawetyczniejszą symfonią. Twórcy operowi szli za tym zwyczajem,

który kazał tworzyć dla libretta aż przesyconego powagą, koturnowego, pompacyjnego. I czasami łączenie z niem świetnej nawet muzyki dawało w rezultacie okropne sztuczny, którego można było jeszcze słuchać, ale na które niepodobna było patrzeć. Próby stworzenia opery innej pociągały za sobą obniżenie poziomu muzyki, słowem, sytuacja stawała się bez wyjścia.

Warszawa miała na sobie jeszcze jeden grzech — tradycję opery włoskiej, ciężką stale do dnia dzisiejszego. Ludzie nie wyobrażają sobie, żeby mogło istnieć coś obok niej, przyjmując ją nawet jako jedną miarę wartości. Nie chcę być źle zrozumiany i ściągać na siebie niesłuszny zarzut. Jakobym niedocenił włoskiej twórczości operowej. Sprzeciwiam się tylko jej supremacji. Owo wieczne dreptanie wokoło Verdiego, chyba nam już wszystkim zbrydło porządnie. A tymczasem w bieżącym sezonie odnowiono „Aidę”, jedną z najmniej szczyrzych jego prac. To już — przepraszam! Wołę „Rigoletta” w dekoracjach, przypominających wnętrze cukierni Semadeniego ze wspaniałymi lampami gazowymi w „renesansowych” świecznikach. Przynajmniej przenoszę się wówczas w inną epokę, wyczuwam lepiej jej smak, który pozwala mi wiele zrozumieć. Nawet ten czerwony pusz obicia krzesel.

I dlatego proponuję: zerwać z nim już nawet raz — stanowczo, wytrząpać i sprzedać tandeciarszowi. Przejąć się potem po olbrzymich magazynach, obejrze zbierane dekoracje, fotografować dla dokumentu, wytrząpać i sprzedać temu samemu. Jedno z niezliczonych, a zawsze zabytkowych przedstawień sfilmować (systemem dźwiękowym) na pamiątkę i dla odstraszającego przykładu, również dla dokumentu. Zresztą robi się na tem dobry interes, bo to i będzie wzruszało (jako smutne) i śmieszyło (jako komiczne). Za zarobione pieniądze wpuścić do wewnątrz prawdziwych aktorów, prawdziwych malarzy (czyja zasługa, że „Twarowski” idzie i idzie?), prawdziwych reżyserów. I zacząć wszystko od początku.



CZY NAD MORZE, CZY TEŻ W GÓRY
CHCESZ SIĘ UDĄC NA LETNISKO,
NIE PRZERAŻA CIĘ ODLEGŁOŚĆ
S A M O L O T E M — WSZĘDZIE BLISKO!